

A photograph of a narrow dirt path winding through a dense forest. Sunlight filters through the thick canopy of green leaves, creating a pattern of bright spots and deep shadows on the path and the surrounding vegetation. In the far distance, a small, white, single-story building is visible through the trees. The overall atmosphere is peaceful and natural.

Maria Rodziewiczówna

Róża panny Róży

Maria Rodziewiczówna

Róże panny Róży

Wersja demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok

Konin 2020

Maria Rodziewiczówna
„Róże panny Róży”

Copyright © by **Maria Rodziewiczówna**, 1938
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**
2020

**Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.**

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

**ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.**

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Drukarnia Concordia
Wydawnictwo: Wydawnictwo Polskie R. Wegner
Poznań, 1938

ISBN: 978-83-8119-754-0

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

RÓŻE PANNY RÓŻY

Była garbata, malutka, kulawa, o żółtej cerze, kolących czarnych oczach i nazywała się — panna Róża. Jakiś psotny chłopak przezwał ją panna Głóg i to do niej przywarło.

Urodziła się, żyła i była w dworku drewnianym przy bocznej uliczce małego miasteczka. Przy dworku był sad, a raczej kilka starych grusz, które, kwoli rodzajności, opasywano słomianym powrósłem w noc Bożego Narodzenia, i kęs warzywnika. To był cały jej dziedziczny po ojcach majątek. Po śmierci rodziców oddała w najem dwie izby, sobie zachowując jedną, dwuokienną, z widokiem na uliczkę. Słonko od świtu do wieczora spoglądało przez te okna na samotną kalekę i jej bardzo szare bytowanie.

Upośledzone ciało urobiło na swój obraz duszę. W duszy też wszystko było słabe, ułomne, pokraczne. I nie dziw! Gdy była malutka, naigrawały się z jej kalectwa dzieci sąsiadów, w szkole przedrzeźniały ją koleżanki i koledzy; gdy dorosła, zrozumiała, że nie było dla niej miejsca w żadnych godach życia. Skazana była na samotność, na poniewierkę, na urągowisko.

Zrazu płakała w cichości i słabości bezradnej; potem łzy słone i gorące przekształciły się w żółć, przeżyła okres rozpacz, buntu, bluźnierstwa i przekleństw i dojrzała w nienawiści. Nienawidziła Boga, rodziców, bliźnich, wszystko piękno, szczęście i pomyślność znajomych,

słońce i lato, pieśń i śmiech — cały świat. Miała jedną uciechę: z niedoli ludzkiej, jedno zajęcie i ciekawość: niepowodzenie i klęski otaczających i znajomych — wtedy gotowa była śmiać się i śpiewać. Schodziły się do niej kumoszki zło-języczne, kłamcy, oszczercy — i rajcowali. Zresztą bywała sama i bezczynna. Słońce widziało ją w tej izbie zimnej i pustej — zajęta bezużytecznymi robótkami, lub wyglądającą okienkiem na przechodzących.

Nawet się nie zajmowała gospodarstwem, bo trud jej i starania za młodu na marne szły wobec dzikości i rabunku sąsiadów. Palono jej płoty, obijano niedojrzały owoc, kradziono warzywa — aż zaprzestała jałowego trudu i patrzyła ze złośliwym triumfem na chwast, porastający zagony, na usychające grusze, na zdziczałe krzaki.

— Żryjcie zielsko, powieście się na gruszy. Nie macie co rabować i kraść. Blekotu narosło bogato — żryjcie! i pozdychajcie.

Z biegiem lat przestała wychodzić — nawet do kościoła, nawet na rynek, nawet do znajomych.

Żyła z tych paru groszy, co jej płacili lokatorzy — i była jak uschły cień.

I oto pewnej jesieni siedziała w swej izbie, zapatrzona bezmyślnie w okno, pełne jeszcze październikowego słońca i złotej kraszy klonowych liści, na przeciwległej stronie uliczki, gdy w tem oknie stanął cień człowieczy, obrzeżony słońcem jak glorią i głos wesoły spytał:

— Czy można wstąpić i spocząć?

Przelekła się i wstała, by drzwi zamknąć na rygiel, ale się zawstydzila, zawahała.

— Proszę! — rzekła niechętnie.

Człowiek wszedł i przy progu usiadł na zydłu, zdejmując z ramion ciężką widocznie skrzynkę.

— Pan podróżny? — spytała.

— Ogrodnik! Wędruję! — odparł, wesołemi oczami na nią patrząc. — W skrzynce kwiaty mam.

Otarł pot z czoła, spojrzał na wiadro u drzwi.

— Można wody wypić?

— Proszę! — podała mu kubek.

Gdy wypił, znowu na nią spojrzał oczami, co miały barwę Inianego kwiecia.

— Paniusia to ma szczęście przez te okna. Toć one codzień i przez cały rok na słońce patrzą, jak dwoje wesołych źrenic. Mądry był, kto ten dom stawiał.

— Ojciec. Ale ze słońca żadna pociecha.

— Bo paniusia nie hoduje kwiatków. Darzyłyby się tu, darzyły. A już najbardziej róże.

Spojrzała apatycznie w puste okna.

— A poco mi kwiaty i róże! Pan pewnie kwiatami handluje — ale ja nie mam pieniędzy na kwiaty — ledwie na chleb.

— Hoduję kwiaty. Ogród mam piękny, ale daleko. Zostało mi tych wazonków dziesiątek: resztę już oddałem ludziom, co je zamówili. Jakem paniusi okna zobaczył — pomyślałem, że moim różom tu będzie dobre bytowanie. Zostawię je paniusi.

Otworzył skrzynkę, wyjął i ustawił w oknach dziesięć wazoników z roślinkami. Ogarnął je ręką pieścizotliwie i, uśmiejchnięty, rzekł:

— Rośnijcie, kwitnijcie, woniejcie za ten spoczynek i wodę rzeźwiącą, co mi ta zacna paniusia dała!

— To jakże tak? to nie można! — wyjąkała.

— Oj paniusiu! Dlaczego nie może człowiek człowiekowi ofiarować marnego kwiatuszka ze swego ogrodu. Mnie uciecha dać — niech paniusi będzie uciecha hodować.

— Kiedy ja nie umiem koło kwiatków chodzić.

— To ja paniusi rozpowiem.

I począł prawić, uczyć, opowiadać. Słuchała jak baśni, coraz bardziej zajęta i zaciekawiona.

A wreszcie jeszcze do skrzynki swej sięgnął i położył na kuferku garść cebulek różnokształtnych i starą, wytartą użyciem książkę.

— A oto na dokładkę do róż. Com nie dopowiedział — w książce paniusia doczyta. A cebulki, skoro z wiosny — zakwitną w garnczkach bylejakich. A teraz szczęście Boże w hodowli, jako mnie Bóg szczęści! Jak będę w tych stronach, to wstąpię na okienka paniusi popatrzeć i radować się.

Wstał, skrzynkę na plecy zarzucił, Pana Jezusa pochwalił i poszedł.

Gdy mijał okienka, jeszcze na nie popatrzeał, zaśmiał się swemi modremi oczami i zniknął w mroku wieczoru.

Tak się zaczęły róże panny Róży.

Kumoszki dostrzegły zaraz, że coś się w izbie zmieniło.

— Pani kwiatki hoduje?

— Dostałam od wędrownego ogrodnika. Mają pączki — pochwaliła się z dumą.

Róże rosły, bujały, pomimo chmurny listopad i mroźny grudzień. Od stycznia dostały już słońca, krzewiły się w bukiety pączków. Cebulki wystrzeliły zielonemi pędami. Panna Róża czytała książkę, pilnowała każdego listka, nauczyła się do swoich kwiatów uśmiechać — zapomniała o swym kalectwie i upośledzeniu; od znajomych dostała po sztoberku pelargonji, fuksji, — przy okienkach porobiła półeczki; od zimowego mrozu ochraniała słomianemi matami na noc, dogadzała każdej roślince. Gdy ziemię marzec odmroził i wysuszył — pod oknami przy ścianie słonecznej skopała grządkę. Przybywało jej sił, ubywało troski. Na Wielkanoc, późną w tym roku, w okienkach zabarwiły się jakby narodowe sztandary — szkarłatne i białe róże — w wielkich, bogatych pąkach. Ludzie stawiali, mijając domek, a zakrystjan wstąpił, prosząc o kilka wazonów do Grobu.

Oburzyła się panna Róża. Co, miała dać swoje ukochane róże do ciemnego kościoła, na poniewierkę bez słońca, w ręce niedbałe! Odmówiła. Ale gdy została sama — przypomniała sobie wesołego ogrodnika i jego oczy modre i słoneczne, i zrobiło się jej wstyd. On by pewnie dał.

Nazajutrz dwa najpiękniejsze wazony, otuliwszy szalem — zaniósła do kościoła. Oddawna tam nie była, ale przy różach swych została — aż do Rezurekcji.

A potem znowu, po takim rozmyślaniu, zaniósła piękny wazon ze szkarłatną różą — dla chłopaka sąsiadów, który umierał na gruźlicę, a był to jeden z tych, co niegdyś ją

przedrzeźniał, przezywał „panną Głóg” i rabował w jej ogrodzie.

Latem starsi i dzieci zaczęli ją prosić o różane zrazy i pędy. Jeszcze miała ochotę odmówić, przypomnieć drwiny i poniewierkę, ale złe słowa już nie wyszły na usta — dała — uczyła jak sadzić i pielęgnować. Uśmiechała się do ludzi, oni do niej — i śmiały się barwą i wonią kwiaty w jej okienkach.

Czasem, często, siedząc pod ścianą w ciepłe lato, z kwiatami wkoło siebie — wyglądała ogrodnika. Potem przyszło jej na myśl, że to może nie człowiek był, ale jaki Świątek czy Anioł — nauczyła się modlić do niego z wdzięcznością, ze łzami, co nie miały goryczy, lecz rzeźwość rosy życiodawczej. I było jej bardzo dobrze na świecie.

Gdy raz zachorzała, sąsiadki sprowadziły doktora i księdza. Obaj ją znali — przez jej kwiaty.

— Będzie jeszcze pani długo róże hodować! — rzekł lekarz po zbadaniu.

— Chciałabym mojego ogrodnika się doczekać — odpowiedziała z uśmiechem, co jak słońce krasił jej biedną, brzydką twarz.

Gdy odeszli — i szli kęs drogi razem, ksiądz rzekł:

— Jej się roi, że to Anioł był — a to może był człowiek, co pracę swą, słońce i bliźnich kochał. Taki przez to wesoły, ofiarny i przyjacielski.

— Proboszczu, — uśmiechnął się doktor, — taki człowiek w obecnych czasach — to równie cudowne

zjawisko, jak legendarny Świątek czy Anioł, po ziemi
i wśród ludzi chodzący!

— A przecież jest, był i będzie!

— I sprawił różany cud panny Róży.

LUTNIA, FINKA I DUGLAS

Ze wszystkich historyj o psach, które kocham i cenię, jako szczerego druha, pomocnika i sługę człowieka, opowiem wam trzy.

Można opowiedzieć setki, bo księga psich zasług, cnót i bohaterstwa nigdy nie wyczerpana.

Więc pierwsza, to Lutnia.

Żyła, była i służyła u moich sąsiadów spokojnie i szczęśliwie do jesieni wczesnej 1915 roku. Wtedy to na kraj nasz przyszła przeraźliwa plaga wielkiej wojny. Cofające się wojska moskiewskie rozgrabiły co się dało, zabrały inwentarz i wreszcie na pożegnanie podpaliły dom i folwark. Zebrali tedy ludzie na parę fur trochę szmat, żywności, dzieci — i ukryli się w lasy.

Przetrwali parę tygodni — cofając się przed hałastą i wreszcie, gdy się uciszyło i świat do cna opustoszał — zawrócili do swego spalonego gniazda. Nie spotkali żywej duszy, aż na granicy swej — pod starą sosną widzą: Lutnia siedzi na zadzie i na drogę wygląda! Dzieci zaczęły na nią wołać, ona skomląc do wozów przypadła, wspięła się, obwąchała, polizała starszych po rękach, dzieci po buzi, policzyła czy wszyscy są i zawróciła pędem w las.

Wołali, gwizdali — ani się obejrzała. Powlekli się tedy do domu.

Z całego folwarku cudem została jedna kuźnia bez drzwi i okien, ale z dachem — zajechali tam i co widzą?

Przed kuźnią stoi już Lutnia, ale nie sama. Obok niej chrząka wielki biały knur.

Szczekała Lutnia, kwiczał knur, śmieli się i krzyczeli ludzie i była na tej pożodze, wśród tej ruiny — wobec ciężkiej czarnej przyszłości dźwigania bytu, chwila radości odnalezienia przyjaciół. Zrozumieli ludzie mowę tych jedynych, pozostałych domowników. Uciekli od pożogi, rabunku, strzałów w las; w haszczach i bagnach znaleźli kąć bezpieczny. Knur goił rany, Lutnia oparzelizny — i gdy oprzytomnieli, suka poszła na drogę wyglądać gospodarzy. Siadywała pod sosną graniczną, pilnując szlaku — gdy się doczekała — wróciła z dobrą wieścią do towarzysza i pewni już znowu opieki, podreptali naprzelaj do domu.

*

*

*

Finka służyła u moich znajomych w Wilnie. Pilnowała uczciwie podwórza, ogródka i domu — nie lubiła ulicy — bała się policjantów, była w domu osobą szanowaną i traktowaną z należnem jej cnotom uznaniem. Zeszłej ciężkiej bardzo zimy, gdy w Wilnie bywało 40 stopni mrozu, a ona miała się szczenić, zrobiono jej wygodną pościel w kuchni, gdzie też przyszło czworo „Finiąt”. Jednakże Finka zdecydowała, że chowanie dzieci w cieple jest niezdrowe i chociaż jej perswadowano i pokazywano termometr — przeniosła dzieci do budy.

W nocy przyszła katastrofa. Napół skostniałą Finkę przeniesiono i odratowano w domu, szczenięta zmarły.

Suka przeleżała dwa dni, wtulona w kąt pod łóżkiem — nie tknęła jadła — cierpiała i myślała. Potem poszła na miasto i nie było jej dni parę. Ogłoszono w gazetach, obiecano nagrodę — wszystko na próżno. Zjawiała się na trzeci dzień, wychudła, zziębnięta, ale triumfująca. W pysku przyniosła szczenię, położyła na środku kuchni — pokazywała wszystkim, karmiła i sama rzuciła się do jedzenia — opowiadając po swojemu nadzwyczajną historię.

Znalazła gdzieś sukę ze szczeniętami, czatowała, aż matka odeszła i ukradła jedno.

Moje jest — nie dacie odebrać! mówiły jej oczy radośnie.

No i rozumie się — znajda został przyjęty za domownika.

*

*

*

Duglasa poznałam, będąc w gościnie u wujostwa na głębokim Polesiu.

Oprócz Duglasa był jeszcze drugi, Tytan. Psy żyły w zgodzie i koleżeństwie, ale że w domu nie było dzieci, które z psami są zwykle w przyjaźni i towarzystwie — wałęsały się po świecie same. Zmawiały na wspólne kopania myszy polnych i miały na sumieniu sporo jaj

kaczyc i kuropatwich, a takż młodych zajaczków. Wogóle były to psy niewychowane, szkodne i włóczęgi.

Zaprzyjaźniliśmy się na dalekich wycieczkach moich po tym pustym, ubogim kraju, o którym Sienkiewicz wspomina:

„Dał dla córeczki szlachcic Hołota
Dziegiu pół beczki, wiunów garnuszek,
Grzybów wianuszek i lechę błota.”

A ma ten kraj wiele ciekawości w roślinach, przelotnem ptactwie i borowych zwierzętach, i wiele mi psy pomogły w tych wycieczkach. Czasem, gdy im się polowanie nie powiodło, zwłaszcza jesienią, gdy ptak już lotny, a zwierz śmigły — psy przypominały misę i udawały pilność w oszczekiwanii podwórza. Bywał wtedy częsty skweres, przy liczeniu drobiu i potłuczonych garnkach od mleka i bywały egzekucje — o ile psy dały się złapać, co się rzadko zdarzało.

Otóż pewnej nocy, gdy porządkowałam zielnik, posłyszałam skrobanie do szyby.

Domek był mały, niski, okno prawie przy ziemi. Patrę — za szybą stoi Duglas i oczywiście melduje coś ważnego.

Oczy mu się jarzą, uszy nastawione, zęby na wierzchu...

Rozbudziłam wuja. Namruczał zaspany i zmęczony, ale po chwili wstał, ubrał się, wziął wiązkę kluczy od stodoły i obór — pałkę dobrze sękatą i wyszliśmy na podwórze.

Duglas już na ganku czekał i merdając ogonem powiódł nas — ale nie na gumno, lecz w stronę sadu.

— Do węgierek chłopaki się dobierają — mruknął wuj.

Ale Duglas minął śliwnik i poprowadził w kąt, gdzie była stara lodownia. Pokazał nam przedartą strzechę i cofnął się, jakby mówił:

— Teraz wasza rzecz!

Z głębi budowli rozległo się złośliwe warczenie i chrupot gryzionych kości.

Wuj przygotował pałkę i szepnął do mnie:

— Zejdź do środka i napędź mi go.

Otworzyłam drzwiczki, zaświeciłam zapałkę. Na resztkę mięsa, zakopanego przez ciotkę w lód — siedział Tytan i używał.

Zaskoczony — rzucił się do ucieczki, ale wpadł widocznie w silne ręce wuja, bo rozległ się jęk rozpacz, potem młócenie skóry pałką i żałosny skowyt.

Gdym, zabrawszy resztę mięsa, wydostała się z lodowni, zasapany wuj już winowajcę puścił i wołał:

— Duglas pójdź, i ty na sprawę.

Ale Duglasa nie było śladu. Był za mądry, by leżeć w łapy rozsierzonego człeka.

— A huncwot, a donosiciel, a podlec! — warczał wuj. — To, że tamten do zdobyczy nie dopuścił, to go wydał i zdradził! Anibym przypuszczał, że pieska dusza może mieć ludzkie podłe grzechy. No — ja już mu to popamiętam.

Duglas otrzymał tejże nocy karę. Usłyszałam zagryzanie się, a potem bolesny skowyt.

Tytan mu zdrady nie przebaczył.

KOS Z SAPIEŻANKI

Codzień rano, idąc do inspektu przez sad, mijałam starą gruszę sapieżankę. Raz w kwietniu zaskrzeczało z niej jakieś urąganie. Spojrzałam. To para kosów budowała chałupę. Przywitałam się: Szczęść Boże! zacnym lokatorom — i minęłam.

W parę dni potem chałupa była gotowa — gospodarze pracowali po gałęziach sadu — on co rano i wieczór wygwizdywał junacko, zdawali się nie zwracać na chałupę uwagi.

Znowu po kilku dniach, gdym szła opodał gruszy — z gęstwiny sadu rozległo się skrzeczenie na baczność. Nie szukałam wartownika, ale spojrzałam na gniazdo. Z pośród rozkudłanego brzegu, świeciły dwie czarne paciorki, śledzące mnie z przerażeniem i trwogą. Skręciłam w bok i przestałam odtąd chodzić blisko gruszy. Udawałam zresztą, że o niczem nie wiem, niczego nie widziałam.

Skrzeczenie na alarm odzywało się jednak przez dni kilka, ilekroć szłam opodał, ale wreszcie umilkło. Byliśmy zaprzysiężeni w tajemnicy tej całej sprawy i lokatorzy mieli do mnie zaufanie.

Nawet więcej — bo gdy pewnego dnia pracowałam przy pikowaniu drobnych roślin w inspekcji, rozległo się dobrze mi znane skrzeczenie tuż za mną.

Kos siedział na płocie o parę kroków i darł się na alarm. Gdy podniosłam głowę, odleciał, ale po chwili wrócił

i widocznie wołał, nalegał: chodźże! Poszłam. Blisko sapieżanki poruszyły się trawy — i wychynał się grzbiet żółtego kota. Kos się darł — polatując nisko.

— To, to, to! Widzisz! Ładne u ciebie bezpieczeństwo!

Krzyknęłam na kota, zniknął w krzakach. Ale po paru dniach kos odnalazł mnie, już nie w inspekcji — ale przy domu. Najzuchwalej dopadł ganku i wrzeszczał swoje:

— Co sobie myślisz! Bolszewika tolerujesz w sadzie. Mordercę słabych i bezbronnych bożych śpiewaków. Hańba ci!

Przypadł, krzyczał, odlatywał, wracał. Poszłam co rychlej w sad. Rudy kot był już na pniu sapieżanki. Oboje rodzice wołali ratunku, przypadając do zbója, nie dbając o kły i pazury. W gnieździe były już pisklęta.

Tedy został wydany wyrok śmierci na „bolszewika” i zwłoki jego zakopano pod gruszą.

Nie urągał mi odtąd ojciec i gospodarz gniazda. Płacił za opiekę pieśnią swego srebrnego fletu, a oboje w pracowitości bezustannej tępili szkodliwe robactwo.

Jesienią pracowało już siedmioro. Pożegnali sad chóralnym świergotem i klaskaniem.

Dobra nasza! Wrócimy wiosną!

Koniec wersji demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego
wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy
kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

